

Gimnazjum imienia Boobalka I mieściło się przy ulicy Spokojnej 2. Mówiono o nim w kuratorium okręgu szkolnego: „O! to jest praca. Tak każda szkoła powinna wyglądać w naszej kochanej ojczyźnie. Bo i siły nauczycielskie pierwszorzędne, a i uczniowski element jak najlepszy”. Pan kurator mówił: „Phy, proszę pana, nie ma się czemu dziwić. Toż to chłopcy z najlepszych rodzin. Widział pan na przykład Józia Kapacha? Czarujący, czarujący chłopiec, a jaka umysłowość”.

Gimnazjum imienia Boobalka I rzeczywiście świeciło przykładem, i w ogóle świeciło. Pod każdym względem. Rygor panował tam niezwykle wprost. Chociażby te mundurki szkolne. Marynarki i spodnie z zielonego sukna; spodnie bufiaste miały wspaniałe lampasy liliowe, szyte w zygzak. Guziki błyszcząły srebrnie (i były, trzeba to przyznać, jedną z rzeczy najbardziej błyszczących i świecących w gimnazjum o tyle, o ile uczniowie nie zużytkowali ich do innych celów). Raz na przykład zdarzyła się taka historia.

– Gdzie są twoje guziki? – spytał pan od rachunków Kazia S. – Uczeń bez guzików wygląda co najmniej jak gruszka.*

Kazio zaczerwienił się, spłonął, jak się to mówi, rumieńcem i wyjął:

- Prosz pa psora, miałem jeszcze rano, ale teraz wyplułem.
- Co? Coś wypluł? Jak to wyplułeś?
- No, te guziki.

Profesor oniemiał ze zgrozy:

- Guziki?...
- Tak, bo odcinaliśmy, a potem wypluwaliśmy przez okno na chłopców z handlówki.

W innych wypadkach guziki błyszcząły na mundurkach, a całości stroju dopełniała liliowa rogatywka z mosiężnym kluczem wyszytym na froncie. Klucz symbolizował dostęp do wiedzy i w ogóle.

„Trza coś przecierpieć, coś przeboleć” – mówi poeta – i rzeczywiście, aby ocenić w pełni znaczenie świętego gimnazjum im. Boobalka I, trzeba było przeboleć i przecierpieć w nim wiele lat. Czy to jako nominalny prześladowca, czy jako nominalny prześladowany.

* bo gruszka też nie ma guzików

Powiadam: nominalny, gdyż w istocie wszyscy cierpiący w nim i pełni upartego patriotyzmu gimnazjalnego, wszyscy, powiadam, przeżywali wiele i tragicznie. Był to swojego rodzaju młyn, który przez jakieś błędy popełnione przez architekta kręcił się z tymi błędami i już wszyscy wciągnięci w ten dziwny tryb przetwarzania nie mogą go sobie wyobrazić inaczej. Zresztą, nie mieliby na to nawet dość sił, a taki bohater, o ile byłby pedagogiem, posądzony by był o rozpuszczanie i zatrucie miazmatem rozprężenia, a o ile byłby uczniem, zostałby co najmniej zapluty guzikami, używając zwrotu znanego nam już.

Wszystko tam działo się jak w dziwnym śnie, a sny, jak nas pouczał Zygmunt Freud, są akcją podświadomości, dość nieodpowiedzialnej i przeważnie nieprzyzwoitej.

Gimnazjum im. Boobalka I było rodzajem tajnego stowarzyszenia kast walczących. Walka ta stawała się z czasem przyzwyczajeniem, zaczynała sprawiać niejaką przyjemność walczącym i przechodziła w nałóg, którego za skarby świata nie wyrzeczono by się, tak jak wszyscy nałogowcy.

O uczniu nowo wstępującym, a potem absolwencie, wyraziłby się poeta metaforycznie: Wpuszczony drzwiami parterowymi grzeszny chłopiec w białym kołnierzyku po wielu latach wyskakuje najwyższym oknem gmachu szkolnego jako istota obdarta w każdym tego słowa znaczeniu, niezdolna nauczyć się czegoś inaczej jak kując, drapieżna w każdym calu – pełna głębokiej samowiedzy o walce i pamiętająca doskonale, że ojcem króla Hepokapupa był Hipokapup Wspaniały, który wyróżniał się tym, że był nazbyt coś tam. – To był absolwent – ot, taki prekursor wieku siły i potęgi.

O profesorze gimnazjalnym wyraziłby się tenże poeta metaforycznie: Wchodził wygniecionym, zagłodzonym młodzieńcem, wpływając przez najwyższe okno gimnazjum, a wypelzał jako zdzieciniały staruszek, wygnieciony do nieprawdopodobieństwa i brzdąkający pod nosem jako dorobek pracy oświatowej jakiś tam aforyzm, który powtarzał co druga lekcja, na przykład: „tańczyły dwa Michały, jeden duży, drugi mały”. Oj, bo tańczyły, tańczyły od lat wielu i nie pojąć nam, jak długo jeszcze tak będą tańczyć. I nie trzeba dodawać domyślnemu słuchaczowi, że wypelzając parterem czy wyskakując oknem, spotykały się Michały po tym tańcu na jednej i tej samej ulicy Spokojnej. Spokojnej? A tak, cóż zrobić, tak ją nazwał magistrat i tak już na pewno przetrwa wieki.

Najpierw, jako przygotowanie do faktu, który zaszedł dn. 13 I roku pańskiego któregoś tam któregoś, warto by wejrzeć w życie gimnazjum

choćby tak jako widz przygodny, choć jak się powiedziało, trzeba coś przecierpieć i przeboleć, aby rzeczywiście ocenić znaczenie tego zakładu.

Hasio Sypa zdał do gimnazjum. Oto scena I.

Po wyprowadzeniu do kościoła i szeregu innych obrzędów rozpoczął się rok szkolny. I pierwszy rok był b. ciężki, nim się Hasio wciągnął we wszystkie arkana tej mafii.

Pierwszego dnia wrócił z rozbitą głową, ponieważ nie chciał razem z innymi wołać chórem: „g.....o, g.....o” pod gabinetem pana dyrektora, a co gorsza, powiedział, że się poskarży. Odtąd nigdy już się nie skarżył i wołał „g.....o” przy lada okazji. Po tygodniu przyszedł z notatką w dzienniczku, że pobił kolegę, i z okiem tak rozwalonym, że było podobne raczej do kalamarza, w który ktoś złośliwy wrzucił oko. W rzeczywistości Hasio odmówił pojedynku na pięści koledze i oberwawszy porządnie, został schwytyany na tym, że wołał „ty łobuzie, ja cię jeszcze nie tak nabiję” i urwał swojemu oprawcy kawałek krawata. Od tej pory Hasio zawsze pierwszy walił w mordę, i to bez dodawania żadnych wyjaśnień. Po dwu tygodniach Hasio dostał pierwszą dwójkę z matematyki, gdyż p. profesor spytał, ile to czyni $18 \cdot 5$, a Hasio miał nieostrożność spytać, co to znaczy „czyni”, bo nigdy jeszcze czegoś podobnego nie słyszał. „Ach, nie wiesz, co to jest »czyni«? Siadaj, masz dwójkę”. I pan profesor stwierdził raz na całe życie, że Hasio jest tępy i matematyki nigdy nie pojmie.

Od tej pory Hasio przestał się w ogóle uczyć matematyki, bo i tak nie warto.

Później jeszcze dostał zły stopień z polskiego, gdyż posądzono go o to, że przepisał wypracowanie.

Wtedy Hasio poznał, że może rzeczywiście doskonale przepisywać, i czynił tak już zawsze.

Na zakończenie okresu Hasio wylał atrament i przyznał się, że to on. Wtedy postawiono mu zły stopień ze sprawowania, a gdy później ktoś przykleił panu dyrektorowi ogon z kolorowego papieru i posądzono o to niewinnego Hasia, i naturalnie Hasio zaparł się – odesłano go do domu. W rezultacie Hasio nigdy się do niczego nie przyznawał, lgał jak z nut, a przy lada okazji kładł gwoźdźki tapicerskie na krzesło pana profesora i wykonywał tysiąc innych przemilych figlów uczniowskich.

Tak każdy Hasio, Kazio czy Epsio wchodził z wolna w tryb i stawał się bratem starszym tego przedziwnego zakonu. Wiedział, że na każdym kroku czyha na niego pan profesor taki czy inny, z dziennikiem, cenzurą,

kątami i innymi represjami. Wiedział, że cokolwiek powie, to i tak mu nikt nie uwierzy, więc chociaż wymyślał przeczudne legendy i w tym znajdował ukojenie swoich zniszczonych ambicji.

Edukacja profesora wyglądała następująco:

Młody nauczyciel bardzo prędko uczył się sprawdzać stan krzesła, nim usiadł, często oglądać się za siebie, ćwiczył w ogóle swoją spostrzegawczość i wiedział, że nigdy żaden uczeń nie powie mu prawdy, a o ile powie nawet, to będzie ona tak fantastyczna, że i tak wierzyć nie warto, więc nie wierzył i podejrzewał. Zresztą z wolna przenikał duchem uczniów, z wolna przejmował ich drobne i duże złośliwości jako swoje własne i był dokuczliwy jak dziecko, któremu wrzucono bułkę z masłem w piasek.

Nie trzeba przesądzać sprawy, że nie było posągowych młodzieńców i posągowych pedagogów, którzy szli z otwartym sercem do przeciwnika. Ale zbyt podejrzanie to wyglądało, aby przeciwnik miał uwierzyć, i przeważnie niszczył natychmiast dobrą wiarę swojego cichego sprzymierzeńca i zamieniał go w wroga.

I tak paprali się w beznadziejnym, złośliwym infantylizmie, sądząc, że od tego zawisło ich życie, wkładając weń całą swoją energię, zdolności i wolę.

Działo się to dn. 13 I któregoś tam którego.

Dzień ten miał jakąś złowróżbną aurę.

W powietrzu wisiała burza. Zdawało się, że uczniowie nigdy nie byli tak dorośle dokuczliwi, a profesorowie nigdy tak dziecinnie perwersyjni. Gimnazjum im. Boobalka I zamieniało się dziś w jakąś rozkapryszoną, infantylną papkę, nad którą wisiał ciężki zaduch powietrza szkolnego jak sina, groźna chmura.

I jak zwykle w takich sytuacjach, wszyscy starali się pogłębić z jakąś bezmyślną abnegacją istniejący stan rzeczy: „No i co z tego wyniknie?”

W III klasie były rachunki. Profesor Teotyp siedział bezwładnie za stolikiem i bębnił palcami po stole. Uchaaa... ziewał czasami i skrobał brudnym palcem brzeg zeszytiku ze stopniami. Lekcja trwała już 15 minut. Uczniowie rozłożeni w najfantastyczniejszych pozycjach męczyli się w ławkach, dłubiąc w nosie, licząc klepki w podłodze i czyszcząc leniwie paznokcie. Muchy krążyły coraz wolniej, wolniej, rozmazując atrament po zeszytach.

Wtedy profesor Teotyp pojął, że tak dalej być nie może, że trzeba tych lotrów ruszyć z miejsc, podeksycytować, choć sam czuł całkowitą niemoc we wszystkich członkach.

Nagle ryknął: – Elisiewicz!

Z ostatniej ławki zwłókł się senny drab, bardzo poczochrany, i spojrzal nieprzytomnie dokoła.

– Elisiewicz znów czytał kurier sportowy?

– Co? – spytał bezdźwięcznie uczeń.

– Widzisz, Elisiewicz, takiś wielki i długi, a rozum masz taki krótki – zażartował profesor z rezygnacją.

Uczniowie jak ukłuci szpilką skurczyli się i zapadli w zupełne przygnębienie od tej próbki humoru.

– Chodź no tu do tablicy. Pisz.

I Elisiewicz pisał, pisał, pisał, a Teotyp dyktował.

Potem posadził Elisiewicza na miejsce i zaczął tłumaczyć bez wiary w to, co mówił: jakies tam: trójkąty o polach, równoległe do przekątnej..., rzutując..., według twierdzenia..., podstawiamy – i wiedział sam doskonale, że to zupełnie nic nie znaczy, że to całkowita mistyfikacja.

A uczniowie obserwowali jego powolne ruchy i nie wierzyli w nic. To wszystko była nieprawda, Teotyp zgrywał się, błaznował, udawał wykład, rozkładał ręce, przybierał pozę przekonywającą, to znów zamysłoną, ale nic, nic nie mówił naprawdę.

Teotyp udawał i mistyfikował.

Tablica pokrywała się wirującymi znaczkami, alfami, ypsilonami i liniami, które wiodły w nieskończoność będąc kredą. W końcu profesor rozłożył ręce, uśmiechnął się niewyraźnie, zasmarował ostatni skrawek tablicy szeregiem krzyżyków, które w żadnych książkach nie były używane, po prostu nie znaczyły nic – ot krzyżyki, żeby wszystko zapisać.

– No i co? – zapytał w końcu. – No i co? Stypalski, zrozumiałeś co z tego?

Gdzieś w ostatnich ławkach (w tej klasie nie było pierwszych ławek) podniósł się mały, gruby Stypalski i wodził zdumionym wzrokiem po klasie:

– Co, proszę?

– Nie żadne „co proszę”, tylko czy zrozumiałeś?

– Aha, naturalnie – mruknął arogancko Stypalski i zwalił się na ławkę, aby powrócić do wprawiania w jej twarde drzewo małego lusterka kieszonekowego.

– Wstań no, Stypalski, jużś spoczął na laurach?

Stypalski uniósł się niechętnie:

– Bo co?

– No, grzecznością, smarkaczu, nie grzeszysz, powiedz no, co zrozumiałeś?

– A, o, to wszystko – wskazał Stypalski niedbałym ruchem ręki na tablicę i usiadł.

W Teotypie coś zabulgotało, a potem ryknął:

– Wstań i stój, Stypalski, dość tego siadania! Co to jest na tablicy?

Było to pytanie zupełnie bezczelne ze strony Teotypa, ponieważ sam nie umiałby na nie odpowiedzieć. Toteż Stypalski otworzył usta i zająknął się:

– a... e... dy..., no to jest takie... takie liczenie...

Teotyp opadł jak pęknięty balon na ławkę, ale znów się poderwał i zawołał:

– To wytłumacz, jak zrozumiałeś, to wytłumacz!

I w jednej chwili doprowadził Teotyp do krótkiego spięcia. Wiedząc, że jego bezsensowne rysunekzki na tablicy nie mają żadnego znaczenia, zażądał czegoś tak nieprawdopodobnego jak wytłumaczenie. Chciał po prostu, żeby się to wszystko wydało, żeby już przestał udawać, że wie, co robi, a oni, uczniowie, że coś z tego pojmują.

W tej chwili rozległ się w klasie hałas. To chłopcy przewrócili ostatnie ławki wysypując z nich tornistry i książki, rozległ się szelest i tupot bosych nóg – to białe myszki Józia Laka uciekły z tekturowego pudła i rozbiegły się wszędzie.

Rozległ się plask – to żółta ściereczka od tablicy wyleciała jak z procy w powietrze i rozwijając się jak spadochron, opadła na łysinę profesora Teotypa. Profesor na chwilę zamarł ze zgrozy, ale już podskakując na jednej nodze dopadł do ściereczki i wywijając ją w powietrze, zawołał:

– Głupki, myślicie, że się was boję. Chodź który na boksy, to popamiętasz.

W tym samym czasie w klasie IV odbywała się lekcja historii z profesorem Notogokopem.

Po długim sprawdzaniu list i omawianiu warunków domowych nieobecnych profesor Notogokop powiedział cichutko:

– Chodź no tu, Ęski.

Ęski powiedział ospale: „Zaraz, zaraz” i dalej grzebał w teczce.

– Czy Ęski słyszał?

– Już idę – odpowiedział Ęski szamocząc się z przytrzymującymi go kolegami i z nieprzytomnym wzrokiem stanął przed Notogokopem.

Notogokop miał przekrwione oczy, żyły na szyi nabrzmiały, tak w nim dziś wezbrał ten dziwny nastrój.

„Cholera – pomyślał – jakoś to się musi skończyć nareszcie” i zapytał:

– Powiedz no, ęski, co możemy powiedzieć o epoce Ludwika Filipa.

– No... e... to można, że król ten tak w ogóle – powiedział ęski i pomyślał: „Cholera, jakoś się to musi skończyć nareszcie”.

– Źle, ęski, nic nie umiesz, jak widzę. A może powiesz, co można by sobie przypomnieć w związku z Komuną Paryską – zapytał Notogokop i zachichotał w duchu: „Jakoś to się chyba skończy”.

– To niby o co chodzi, pa psorze, czy o sytuację współczesną, czy o konstytucję demokratyczną, czy o w ogóle? – powiedział ęski, a pomyślał: „Co też ten stary cymbał za pytania zadaje, nie wiem, co on sobie przypomina w związku z Komuną – no, więc się jakoś to skończy”.

– A, ęski nie wie, co można by sobie przypomnieć? A co ęski w ogóle wie, niech ęski idzie, ma ęski dwóję, niech rodzice ęskiego przyjdą. Niech ęski siada – zaszeptał Notogokop dystyngowanie i pomyślał: „Czy ten bałwan nic się nawet nie odezwie, a jednak to się musi jakoś skończyć, te ogólne pytania, i to dzisiaj, natychmiast”.

I skończyły się. Profesor nagle wstał i zagwizdał przeraźliwie na palcach, potem kopnął katedrę, zawołał:

– Na takie pytanie można wszystko odpowiedzieć, co się tylko jednemu idiotcie z drugim w głowie uroi, ale wy wolicie udawać, szympanse jedne, że was to martwi, że nie pojmujecie, i że ja wiem, o co chodzi. Świństwo, dość tego. – Chwycił globus, wyrznął nim o podłogę, podstawił nogę ęskiemu, wywalił go na ziemię, a potem pchnął na niego Jopka, który wybiegł z pierwszej ławki, aby podnieść globus. Potem chwycił kosz od śmieci i rzucił nim w tłum uczniów obsypując ich różnokolorowymi papierkami. – Fiuuuu – gwizdnął jeszcze donośnie i ślizgając się na butach po lśniącej posadzce wyjechał na korytarz.

Na tej samej godzinie w klasie I odbywała się religia.

Ksiądz Estypkowicz pytał Tatkemusa:

– Powiedz no, Tatkemus, jakie my mamy grzechy główne.

Tatkemus pocąc się wyszeptał:

– Chrzest, bierzmowanie... – i urwał, niesłuchanie zafasowany, choć uczniowie, chcąc doprowadzić do kataklizmu, mrugali i kiwali:

– Mów dalej, Tatkemus, dobrze, dobrze, Tatkemus, mów dalej.

Księdzu Estypkowiczowi okrągłe niebieskie oczy wylazły na wierzch:

– Jak to, to są przecież Sakramenty święte – i głos mu się załamał przechodząc w falset.

Ale nikt już księdza nie słuchał. Chłopcy skupili się rysując ogromne wazy i szable trzem młodzieniaszkom stojącym wśród płomieni, wdzięcznie wyrysowanym w książce.

Inni opracowywali wspaniałą postać Mojżesza z rogami na głowie, dorysowując mu wózek z pomarańczami i długą kapotę do pięt. Inni znów zajęli się garniowaniem głowy Jana, którą niesiono na tacy, bądź też innymi uczniowskimi sprawami. Tatkemus natomiast, pełen złej woli, sądząc, że jego występ się skończył, wyjął zeszyt z rąk zdrętwiałego z przerażenia księdza i powłókł się na miejsce.

Ksiądz szukał choć jednych oczu, które by nań patrzyły, aby móc rozpocząć awanturę. Nikt się nim jednak nie interesował i w skupieniu bawiono się dalej.

Nagle, gdy ksiądz miał już wybuchnąć, gdzieś spod okna z gromady chłopców odezwał się głos pełen radości i zainteresowania:

– Proszę księdza, niech ksiądz prędko przyjdzie, prędko.

– A co tam?

– Pokażemy księdzu coś fajnego.

Ksiądz zawahał się, ale pokusa była zbyt silna. Wstał, podszedł do gromadki i zobaczył ponad głowami chłopców maleńki samochódzik, który powoli pełznął pod ławkę. Fipelusek, do którego samochód należał, objaśniał, że tu są guziczki na szybki bieg, tu na wolny, a tu hamulec. Zaczęto ich próbować, skręcać, zmieniać biegi i ksiądz, zainteresowany, przykucnął razem z chłopcami na podłodze.

– Słuchaj, Fipelusek – powiedział w końcu – daj mi go na chwilę – i zaczął próbować hamulec. – Chodźcie, chłopaki – zawołał ksiądz na innych chłopców, którzy jeszcze rysowali – chodźcie, zobaczymy, ile on przejeżdża na minutę.

Chłopcy z hałasem stanęli dokoła, popychając się i wrzeszcząc. Ksiądz Estypkowicz nastawił samochód na pełny gaz. Coś tam w środku zachrobotalo i pojazd wjechał gwałtownie pod katedrę. Ksiądz, chcąc go wydobyć, ukląkł na ziemi i właśnie w tej chwili chłopcy, podnieceni, tak się stłoczyli, że jeden runął na księdza i przetoczył się przez niego. Tego tylko momentu czekała zawisła w powietrzu burza.

– Hej! chłopcy – zawołał Fipelusek – będziemy skakać przez księdza. – I w tej chwili jeden za drugim poczęli przeskakiwać „rozkrocznym” przez katechetę. Ksiądz, purpurowy od gniewu, nie mógł się jeszcze podnieść.

Walczyła w nim chęć wydobycia wspaniałej zabawki spod katedry z oburzeniem na bezczelne zachowanie wychowanków.

– Czekajcie, szczeniaki – uniósł się z podłogi. – Ja wam pokażę – wstał i walnął w tłum dwoma kawałkami kredy.

– Hu... hu... – zawrzeszczała tłuszcza i runęła na katedrę obsypując go gradem zeszytów.

Książdz, odcinając [się] gęsto linią, cofał się ku drzwiom.

– Hura! – rozlegało się już w całym gmachu szkolnym. – Hura! – Słychać było tętent nóg łomocących o schody, grzmot przewracanych ławek. To klasy przygotowywały akcję bojową.

Profesorowie, potrącając wszystkich, biegli do kancelarii i gabinetu dyrektora.

Dyrektor, który wykladał języki w wyższych klasach i właśnie przed chwilą został zaatakowany, gdy zaczął rzucać strzałami papierowymi w swoje audytorium, już był w gabinecie i nerwowo wydawał rozkazy.

– Niech pani nie płacze – zwrócił się do nauczycielki francuskiego – niech pani przygotuje bandażę, o – i na początek dał jej swoją chustkę do nosa. – A teraz, panowie – tu wszedł na krzeselko, aby go lepiej usłyszano – a teraz, panowie, musimy znaleźć sztandar i przystąpić do akcji obronnej! – Chwilę zastanawiał się z palcem u czoła, a potem skoczył w kąt, gdzie wisiała ogromna mapa Europy, i usłyszano straszliwy krzyk rozdieranego papieru płóciennego. – Oto sztandar – zawołał dyrektor z entuzjazmem – pod tym symbolem kultury pójdziemy na bój!

– Hura! – wrzasnęli profesorowie.

– Trzeba teraz zebrać sprzęt bojowy i amunicję – wołał profesor Notogokop, którego natychmiast zamianowano szefem sztabu. A już zewsząd wyciągano akta gimnazjalne, linie, ekierki, pudełka spinaczy, zapasowe kałamarze.

– Idźcie po woźnego, niech on przyniesie futbolówki i kije hokejowe ze składziku!

W tym celu wysłano profesora gimnastyki Gumaka w masce od szermierki i zamyślonego wечно fizyka Popka – jako dwu najmłodszych.

Ci momentalnie dotarli do woźnego:

– Władysławie, prędko kije hokejowe, prędko!

Ale niestety Władysław dawno już miał zameldować w kancelarii, że kije gdzieś zginęły, a teraz nie tak łatwo było mu wytłumaczyć się, gdyż bardzo się jąkał.

– A-a-a-a-a... – zaczął i kiwał głową, aby jakoś dać znać, że nie może.

– Prędej, Władysławie!

– Ki-ki-ki-je – kończył Władysław.

– To sabotaż! – ryknął zdenerwowany Gumak – przed sąd go...

I nie wiadomo, co by się stało z biednym Władysławem, gdyby nie klasa III, która słysząc jęki woźnego, na którym profesor Gumak wykonał już kilka efektownych ciosów szermierczych, przybiegła na pomoc.

– Dalej, chłopcy, wzięć mi to działo! – zawołał Januszek Proprad, najgorszy lotr⁹ w klasie i obecny jej wódz.

I chłopcy z takim impetem uderzyli na Gumaka (gdyż profesor Popek uciekł już dawno), że ten runął na ziemię, brzęcząc donośnie orężem i maską, która odpadła mu wraz ze słabo przytwierdzoną głową.

– Hura! – zawołał Januszek – wzięć mi to, chłopcy, na dzidę – i potracił głowę profesorską, która coś tam z oburzeniem gderała pod nosem.

Więc nabito głowę nieszczęsnego Gumaka na kij od mapy i przebiegnięto w zwycięskim szale dalej.

Ciało profesora chwilę jeszcze spoczywało bez ruchu, z nogami (jak to często bywa u śpiących) rozrzuconymi „w krakowiaczka”, oszołomione tym, co się stało. Jednak po niedługim czasie drgnął i podniósł się ten zdekompletowany Gumak. Cóż? był to przecież tylko profesor gimnastyki, a teraz, w roli żołnierza (jak potem stwierdził szef sztabu Noto-gokop), było to tylko pozytywne.

Tymczasem chłopcy odbywali w klasach ostatnie uzupełnienia w rynsztunku. Stworzono specjalne oddziały konne, które miały staczać pojedynki indywidualne w razie jakichś kwestii spornych z przeciwnikiem. Analogiczne oddziały stworzyli profesorowie, choć były one nierównie słabsze liczebnie.

Osobne oddziały bombardierów uzbroili się w kałamarze pełne atramentu i słabo zakorkowane papierem oraz w piłki i globusy – jako cięższy kaliber amunicji.

Broń pancerna – były to ławki szkolne, w których ukryci siedzieli młodzieńcy z karabinami maszynowymi. Karabiny zrobione były z przyciętych próbówek, a ładowało się je przejrzałymi wiśniami.

Chłopcy mający najlepszy dech obsługiwali te karabiny, gdyż wiśnie trzeba było wydmuchiwać z rurek, i to jak najcelniej.

Reszta chłopców uzbrojona w miecze z kawałków ławek, dzidy z kijów od map i tarcze z obrazów, tworzyła piechotę. Początkowo chcieli ją uformować na sposób rzymski, ale gdy zaszły duże różnice w poglądach

co do ustawienia kolejnego, jak to było w szyku antycznym, zaniechano tego. Była tam też w armii uczniowskiej grupa destrukcyjno-szpiegowska, ze specjalnie dzielnych chłopców.

Sztab tworzyli przedstawiciele klas, na czele z najmłodszym uczniem klasy I, Eorkiem.

Pierwszy szturm uczniów, trzeba to zanotować na ich niekorzyść, był tak beładny, że spelzł na niczym. Łomot w drzwi, wymyślanie i wytłuczenie małego okienka w ścianie gabinetu dyrektora doprowadziły tylko do tego, że niespodziewanie ukazała się w tym okienku głowa dyrektora, która otwarła gębę, wywaliła język na pół łokcia, a potem donośnym basem, podskakując, zaśpiewała przez wąsy:

Alli – Oaki

Głupie chłopaki.

Strach wami miota

Ata – Aota.

Chłopcy tak byli zgnębieni, że nikt nawet nie zaśpiewał w odpowiedzi sławnej fraszki na dyrektora:

Dyrku, Katonie,

mam cię w ogonie.

Odeszli ze spuszczoneymi głowami, pogadując coś tam niewyraźnie w krawaty.

A w wszystkiemu winna była głowa profesora Gumaka, niesiona jako pierwsze trofeum wojenne przez klasę III. Cały czas darła się jak opętana: „Bij pętałów!”, „Niech żyje armia profesorska!”, „Zwycięstwo tam, gdzie nauka!” itp. A że klasa III szła na tyłach jako rezerwa, wrzaski te sprawiały wrażenie, że wróg dostał się na tyły i atakuje. Chłopcy ciągle oglądali się z niepokojem i to spowodowało niepowodzenie. Potem głowę Gumaka zamknięto w szafie, gdzie mogła nawoływać do woli, i przygotowano drugi szturm, już planowy.

Pierwsze poszły do ataku oddziały bombardierów. Grzmot globusów i wraz z nim rytmiczne uderzenia ciał o drzwi doprowadziły do tego, że rozległ się trzask, jeden, drugi, trzeci, i górna część drzwi wypadła z hałasem na podłogę.

Już, zdawało się, zwycięstwo przechyliło się na stronę chłopców, już podsunięto czołgi, które gradem dojrzałych wiśni zaczęły zbryzgiwać nieprzyjaciela, już nauczycielka francuskiego otrzymała wspaniałą desęć na suknię z czerwonych gwiazdek i dwie wiśnie celnie wystrzelone zamazały doszczętnie okulary Notogokopa, kiedy nagle wybiegł na front

armii profesorskiej ksiądz Estypkowicz, czerwony i w rozwianej sutannie.

– Stać! – zawrzeszczał. – Stać! – i wyrwał z kieszeni białą chustkę w niebieski szlaczek.

Nie tyle ten znak parlamentariusza, co przeraźliwy krzyk księdza wstrzymał na chwilę szturmujących.

Katecheta zadziwił zarówno oblegających, jak i oblężonych. Nie wystąpił bowiem jako delegat armii profesorskiej, ale całkiem samorzutnie. Wiedział jednak, co robi. Postanowił w krytycznym momencie uratować oblężonych i dać im możliwość przygotowania nowej obrony.

– Stać! – wołał teraz. – Żądam satysfakcji indywidualnej! Wyzywam Fipeluska na turniej konny. Ten szczeniak pierwszy przeze mnie skończy!

Szmer przeszedł przez szeregi uczniowskie, ale już dzielnie wystąpił Fipelusek i wołał:

– Prędko siodłać Erbryka!

Erbryk z klasy VIII był szkolnym weteranem, miał lat 24, największe muskuły i cudownie grał na helikonie w orkiestrze szkolnej.

Wprost znad brwi wyrastała mu wspaniała, jasna, nieomal siwa czupryna. Zaczerwienił się z dumy tak, że zdawałoby się, krew tryśnie mu z grubego karku, schylił się i wymruczał:

– No, siadaj, mały.

Ksiądz Estypkowicz też poszukiwał rumaka i zastanawiał się głęboko, czyby nie wziąć profesora Gumaka, trudno by nim jednak było kierować, gdyż ten nie miał głowy, zdecydował się więc na opasłego profesora Lulko od języka polskiego. Ten nie będzie mędrkować jako koń, a za to wytrzyma niejedno uderzenie.

Profesor Lulko, wezwany przez katechetę, flegmatycznie, nie spiesząc się ustawił w kącie ogromną butlę z atramentem, którą od kilku już minut opróżniał przez wybite okienko na tłum szturmujących uczniów, chrząknął: echem... i przykucnął, aby ksiądz Estypkowicz mógł go dosiąść.

Grono uczniów i profesorów ustawiło się w ogromne półkole i przeciwnicy ruszyli do ataku.

Erbryk sapnął i runął naprzód z takim zapalem, że Fipelusek o mały włos nie spadł, ale już schyliwszy ku ziemi ogromny kij od firanek, godził nim w pierś katechety:

– Występuj, pomidorze! – wrzasnął jeszcze i huknął z całej siły pasterza w łeb. Ksiądz, uniesiony gniewem, zadudnił nogami po brzuchu swego

rumaka, profesora Lulka, i gibnął się naprzód, przekonany, że dzianet jakoś tam się poderwie. Ale gibnął się nadaremno. Lulko tak zagadał się z obok stojącym dyrektorem, że ani drgnął. Jeszcze na dodatek powiedział:

– Tak? Tak? no to niech pan dyrektor pozwoli do gabinetu, to na dokumencie udowodnię – i już szedł zaaferowany, grzebiąc w portfelu, w kierunku gabinetu, kiedy pochwyciły go ręce dzielnych profesorów i rzuciły w wir walki:

– Koniem jesteś, idioto, gdzie leziesz?

Teraz ksiądz rozmachał się na dobre:

– Czeka! ja ci pokażę – i tak zamachnął się włócznią, że zdarł nieszczęsnej nauczycielce francuskiego ondulowaną peruczkę z głowy. Na próżno biedna kobieta usiłowała naciągnąć ją z powrotem. Peruczka błyskawicznie zmieniała kształty, w końcu stała się wielkim, rudym krukiem, który zawołał skrzekliwie: „Do widzenia, wesolego Alleluja” (choć był to tylko czerwiec), i przy ogólnym rechocie uczniów wionął do góry i znikł gdzieś pod sklepieniem. Hej! jakże teraz z potrójną wściekłością natarł katecheta! Nie na darmo flirtował z panią od francuskiego od lat 10.

Strzaskano już dawno włócznie, zgubiono miecze i wśród ogólnego ryku i gwizdu rozpoczął się nowy akt walki. Walki wręcz. Ksiądz walczył jak lew. Erbryk wziął rozpęd i ze strasznym szumem pędził wprost na leniwe cielsko przerażonego profesora Lulka. Ksiądz zrozumiał, że już ani nie uskoczy w bok z tym ociężałym grubasem, ani nie potrafi wytrzymać strasznego naporu, przymknął na chwilę oczy, zmówił naprędce coś w rodzaju „Święty Antoni Padewski, obywatelu niebieski” i gdy nastąpiło starcie i Lulek ze strasliwym łoskotem runął na ziemię wraz z Erbrykiem i Fipeluskiem, ksiądz wziął wewnętrzny rozpęd, odbił się i skoczył w górę.

W pierwszej chwili nikt tego nie dostrzegł i Fipelusek wraz z Erbrykiem i profesorem Lulkiem tłukli się ile wlezie, ale nagle Fipelusek spostrzegł, że okłada wrogiego rumaka, zawstydzony, rozejrzał się dokoła i zawołał:

– Gdzie Estyp... jak Boga kocham... pomidor zwiął.

Ale to była insynuacja. Wszyscy uciszyli się na chwilę i wtedy usłyszano ciche brząkanie w górze. Tam wisiał wklejony za poły w suficie nieszczęsny katecheta i płakał. Był jakiś maleńki, niepozorny i brzęczał jak mucha przyklepiona skrzydełkami do lepu. Zamienił się w wizerunek na plafonie. Stał się żywym symbolem, gdyby nie sufit, on, człowiek tak

święty jak prorok Elizeusz, byłby żywcem wzięty do nieba. A tak, był tylko rysunczkiem niepozornym, pierwszą i ostatnią ozdobą sufitu gimnazjum im. Boobalka I.

– Chłopcy, te łobuzy obwarowały się na nowo – wrzasnął ktoś nagle, spostrzegłszy podstęp księdza Estypkowicza. – Hej, do broni!

I nowa ława oblegających runęła na drzwi, ale nadaremno. Stały jak głaz. To Notogokop kazał przysunąć do nich szafę z aktami, a sam teraz przez okienko z gabinetu dyrektorskiego wyrzucał na oblegających ogromne ilości kałamarzy, a wraz z nim, celnie mierząc, strzelał z wielkiej procy profesor Teotyp. Proce sporządzono z podwiązek pani od francuskiego, a naboje z rozbitych liczydeł.

Uczniów ubywało z wolna. Coraz to któryś cofał się z podbitym okiem albo z guzikiem liczydła wbitym w czoło. Gdy nagle drzwi znów zaczęły trzeszczeć. Podpiłowano je pracowicie laubzegą, rozbito tylną ścianę szafy i już akty nawet wysypywały się na korytarz. Walczono ze zdwojoną zawziętością.

– Wiwat! – ryczeli uczniowie. – Do ostatniego guzika! – okrzykiwali się pedagogowie.

A tymczasem mały profesor Popek od fizyki wykradł się tylnymi drzwiami i przemykał wyludnionymi korytarzami, brany przez strażę, dla swojego małego wzrostu i ogromnego zarostu, za rannego ucznia.

Nagle dyrektorowi zaświtała myśl o ostatecznym środku:

– Gazy lżawiące, może węglowodór, gdzie jest Popek, dajcie Popka, on nas uratuje.

Ale profesor Popek już był w swoim laboratorium i mieszał żółte, zielone i niebieskie proszki, potem dolewał wody koloru rubinowego, potem sypał tam jeszcze z fioletowego pudełeczka, podgrzewał, nasyczał, odmierzał i oto był już gotów. „Dzięki Bogu” – westchnął i [...]

[dalszego ciągu brak]